jutrzenka

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży

pod redakcją czarnego wujaszka

Rok I. Sosnowiec, niedziela 18 października 1936 roku. Nr. 1

Kochane Dzieci!

Po kilku miesiącach milczenia znów się odzywam do Was, niezmiernie z tego powodu szczęśliwy, bo pisanie dla Was to nie żadna praca, ale prawdziwa przyjemność. Nie próbuję liczyć Was, nie chcę nawet wiedzieć, ile Was się zbierze przy „Jutrzence", ale, siedząc teraz przy biurku i pisząc te słowa, wydaje mi się, że zebrał się przy mnie wielki tłum dzieci, począwszy od takich, co to jeszcze palec wskazujący w buzi trzymają, a skończywszy na panienkach w siódmej klasie szkoły powszechnej, albo może nawet w pierwszej klasie gimnazjalnej.

Zebrałyście się oto przy mnie, oparłyście się łokciami o biurko i wpatrujecie się we mnie uporczywie swymi roześmianymi oczami jakbyście się pytały:

— A dlaczego to pisemko nazywa się „Jutrzenką"?

Dlaczego? A dlatego, moje dzieci, że jutrzenka stoi na progu dnia, jak Wy stoicie na progu życia. A dlatego, że gdy jutrzenka zabłyśnie, to jasno się robi na świecie. Tak samo i Wy wnosicie z sobą słoneczną radość. Jesteście więc podobne do jutrzenki, a chciałbym bardzo, aby to pisemko stało się podobne do Was, to znaczy, by miało Wasz uśmiech, Waszą ochotę do zabawy i Wasze dobre serca.

Czytajcie co tydzień „Jutrzenkę", piszcie do niej jak najczęściej i pamiętajcie zawsze o tym, że każdy Wasz list z największą uwagą przeczyta szczerze do Was przywiązany

CZARNY WUJASZEK.

NASZA GROMADA



Taka wielka Was gromada,
Taki zespół roześmiany...
Każde o czemś opowiada,
Jakieś własne snuje plany.

Ten, że chciałby być pilotem,
Ogrodniczką ta być pragnie,
Tamten w kuźni walić młotem,
Ów na łące pasać jagnię.

Cóż tam z tego, że w tak różne
Chcemy przyszłość ująć ramy,
Najważniejsze to jest wszakże,
Że się wszyscy tu kochamy.

Mały poczmistrz z Gór Skalistych

Kiedy zaczęły powstawać pierwsze osady z drugiej strony Gór Skalistych w Ameryce William Power zawarł z nimi umowę, że będzie im dostarczał pocztę do następnego posterunku raz na miesiąc. Droga prowadziła koło Czterech źródeł przez przełęcz górską, liczącą około 65 km. Na całej tej przestrzeni nie było ani jednej osady. Zima tego roku była ostra i spadł duży śnieg. W grudniu przyniesiono pocztę i trzeba ją było dostarczyć osadnikom za górami jeszcze przed świętami. William czuł się jednak niezdrów i nie chciał tak daleko wyruszać. Zawołał więc swego piętnastoletniego syna Bena i rzekł:

— Słuchaj, chłopcze: — Trzeba zanieść pocztę. Święta się zbliżają ludziska się będą niecierpliwić. Czuję się chory. Czy odważysz się mnie zastąpić?

— Dobrze ojcze! Jestem zdrowy i silny.

Wyruszył następnego dnia wczesnym rankiem, zabrał z sobą wielką torbę z pocztą, zapasy żywności, łyżwy, siekierę, futrzany worek do spania. Złożone miał to wszystko na małych saneczkach. Poza tym wziął strzelbę na plecy, rewolwer z jednej strony pasa umieścił, a z drugiej ostry nóż.

— Ben! — rzekł mu poczmistrz na drogę — bądźże ostrożny. Boję się o ciebie, ale poczta musi być dostarczona za wszelką cenę. Dojdziesz najpóźniej za cztery dni. Weź z sobą Blacka (czyt. Blek). Psiak jest równie mądry jak wierny.

Ben był pełen najlepszych myśli Nie przestraszały go ani góry ani niebezpieczeństwa. Przyzwyczajony był do groźnej natury kraju i do wielkich odległości.

— Możesz być spokojny, ojcze, i o mnie i o pocztę. Chdź, Black.

Nieduży, czarny jak atrament pies owczarski zaszczekał radośnie Cieszyła go swoboda i pdróż z Benem.

Droga była dobra, śnieg twardy i nazajutrz przybyli bez przygody do Czterech Źródeł. Było to miejsce odpoczynku. Przy źródle stał szałas z chrustu, a w nim zapas rąbanego drzewa. Ben rozpalił ogień, przygotował sobie i Blackowi kolację, którą zjedli z wielkim apetytem. Urządził potem wygodne posłanie i zasnął snem kamiennym.

W nocy pies zaczął wyć i uderzać łapami po piersiach Bena. — Chłopiec zdziwiony wstał, wziął strzelbę i wyszedł z szałasu. Ogień prawie przygasły tlił się zaledwie i nie dawał żadnego blasku. Uszedłszy kilka kroków Ben ujrzał pięknego jelenia, pijącego u źródła. — Wymierzł i strzelił. Wraz z hukiem strzału jakieś olbrzymie cielsko podobne do kota spadło z góry na Bena, który runął na śnieg, przygnieciony ciężarem. Spojrzał i serce w nim zamarło. Ujrzał cielsko patery leżące mu na nogach. Śledziła go bardzo uważnie! nawoływała towarzysza, by się z nim podzielić zdobyczą. Black skakał koło pantery i ujadał zajadle. Ben wiedział, że za każdym poruszeniem zwierzę skoczy mu do gardła. Chwile przedłużały mu się w nieskończoność. Nagle posłyszał szmer w górze i ujrzał uszy pantery sterczące nad brzegiem parowu.

Ben czuł, że nic go uratować nie zdoła. W tej chwili Black, który dotychczas okrążał drapieżne zwierzę i naszczekiwał uparcie skoczył i schwycił panterę za ogon. Parskając gniewnie olbrzymi kot zwrócił się ku niemu. Ta chwila uratowała Bena. Błyskawicznie wyciągnął rewolwer i strzelił. Na odgłos strzału druga pantera skoczyła na psa ale ugodzona też kulą padła bez życia. Ben przy pierwszym poruszeniu uczuł jednak straszliwy ból w nodze. Przyczołgał się do zabitej pantery i usiadł na jej cielsku rozmyślając nad położeniem. Noga między kostką a kolanem była złamana. Na ramieniu widniała dość głęboka rana. Ubranie miał poszarpane

Co robić? Przez trzy tygodnie nie będę mógł chodzić. Wcześniej noga się nie zrośnie. O pomocy myśleć nie mogę. Chyba, że się domyślą, gdy poczta nie nadejdzie i wyślą na zwiady. Ha, trzeba opatrzyć ranę, zabrać jelenia, aby był zapas pożywienia. Drzewo mam. Tylko ta poczta, ta poczta!

Przyczołgał się do szałasu. Naciął siekierą kilka płaskich kawałków drzewa, obłożył nimi złamaną nogę, wyrównał kości i powiązał chustką. Następnie silnie zasznurował obciętym od sanek sznurkiem. Uciął dwie silne tyczki, by posługiwać się nimi jak kulami. Cierpiał straszliwie. Zacisnął jednak zęby i z pomocą Blacka zawlókł jelenia do szałasu.

Na oprawieniu jelenia zeszła mu cała noc. Rankiem zjadł śniadanie. Nie smakowało mu. Rany poczęły zaogniać się i ból obezwładniał. — Zmęczony spał kilka godzin. Obudził się dobrze po południu. Złamana noga silnie opuchła i dokuczała boleśnie.

Dzień mijał za dniem. Jednostajność, bezsilność i srogi ból nękały dzielnego chłopca. Ale największą troską jego była niedoręczona poczta. Minęły cztery dni i jakoś nikt z osadników nie zjawiał się. Tymczasem pewnego dnia zaczęła się wielka zawierucha. Wicher jęczał wśród skalistych ścian parowu i miotał ogromne zaspy śniegu. Ben stracił nadzieję bliskiej pomocy. W taką pogodę trudno byłoby psa wypędzić. A jednak chłopiec postanowił poświęcić Blacka.

— Przyrzekłem ojcu, że pocztę doręczę.

Na kawałku drzewa wypalił kilka wyrazów: „Poczta świąteczna przy Czterech Źródłach. Złamałem nogę. Ben Power".

Rankiem zawiązał kawałek drzewa w płótno i przywiązał go do szyi psiaka.

— Zaniesiesz to Tonowi, Black. Ton czeka na ciebie. Idź sam. Pamiętaj, idź do Tona.

Ton był to pocztmistrz, który odbierał przesyłki. Black go znał, gdyż często chodził z Williamem Powerem.

Mądry pies zrozumiał czego żąda od niego młody pan. Szczeknął porozumiewawczo i podał łapę na pożegnanie.

— Idź, Black, do Tona. Idź!

Psiak podniósł zawiniątko, machnął ogonkiem i ruszył żywo przed siebie.

Upłynęło kilka godzin w męczącym oczekiwaniu. Black jednak nie wracał. Czy zginął w śnieżnej zamieci? Czy rozszarpały go dzikie zwierzęta? A droga była daleka i niebezpieczna. Upłynął jeden dzień, drugi, a psa nie widać. Zdenerwowanie Bena rosło. Żal mu było wiernego psiaka. Żałował, że pozwolił mu iść tak daleko. Postanowił następnego ranka wyruszyć.

— Dam sobie jakoś radę. Będę opierał się na kulach i powoli ciągnął sanki. Bo przede wszystkim poczta musi dojść.

Przygotował wszystko do podróży. Stwierdził z zadowoleniem, że pogoda się poprawiła. Zawieja ustała. Pokazały się gwiazdy. Zmęczony zasnął głęboko. W nocy obudziło go radosne skomlenie. Wyjrzał z szałasu.

Black szczekał, skakał, podawał łapy, chodził na tylnych łapkach i wogóle objawiał swą szaloną radość na wszelkie psie sposoby. Ben zau-

ważył, że pies jednak silnie kuleje. Zawołał go do szałasu i tu przy świetle spostrzegł, że jest silnie pokaniony i bardzo zmęczony. W oczach jednak pieska była wielka radość. Drewienka na szyi nie miał.

Ben nakarmił psa i położył koło siebie. Rano Black zerwał się z posłania i wybiegł z szałasu naszczekując radośnie. W głębi parowu ukazało się trzech osadników. Dzielny chłopiec i dzielny, mądry pies zwyciężyli...

Wielki Wódz

Aleksander Wielki, król macedoński, który żył w IV w. przed Chrystusem był jednym z największych wojowników świata.

Wkrótce po wstąpieniu na tron podbił Azję Mniejszą, a następnie udał się na zdobycie Egiptu.

Droga prowadziła przez pustynię. Słońce grzało niemiłosiernie i błękitne bezchmurne niebo nie mogło dać żadnej ochłody. Suchy, palący wiatr porywał tumany piasku i zasypywał oczy omdlewającym z pragnienia żołnierzy. Jak okiem sięgnąć roztaczała się ogromna pusta równina. Niezadowolenie wśród przemęczonych żołnierzy wzrastało, a szemranie przekształcało się powoli w otwarty bunt. Z nieba leciał żar. Sam Aleksander cierpiał i skarżył się na upał i nieugaszone pragnienie. Mijały długie dni. Zmęczone oczy wpatrywały się w odległy horyzont, czy nie dojrzą kresu tej ciężkiej wędrówki. Naprożno.

Jednego z takich ciężkich dni — jakiś żołnierz podszedł do Aleksandra i podał mu w hełmie trochę wody zaczerpniętej w skale, którą właśnie minęli. Aleksander wystąpił przed front wojska, pokazał hełm i powiedział:

— Dla nas wszystkich wody nie wystarczy, a ja nie chcę pierwszeństwa przed wami. Byłbym wtedy wodzem niegodnym takich żołnierzy jakimi wy jesteście.

Przewrócił hełm i wylał odrobinę drogocennej wody w piasek. — Wśród wojska zerwały się gromkie okrzyki gorącego uwielbienia dla wodza. Od tej pory żaden z żołnierzy nie użalał się na pragnienie. Bunt był poskromiony wielkością duszy wodza.

W cyrku wędrownym

Miasteczko ożyło. Grupki obywateli zbierały się przed siedzibą burmistrza, gdzie na desce od ogłoszeń przyklejony był olbrzymi afisz. Młodsi wspinali się na palce, starsi czytali, nałożywszy na nosy okulary. Cuda. Cuda! — szeptano.

Cyrk, cyrk przyjeżdża jutro do Kręciołowa! Cyrk, słyszycie? Prawdziwy cyrk z dzikimi zwierzętami, małpami, tygrysami, lwami.—Dwa słonie, wielbłądy i tak dalej, i tak dalej.

— To ci, panie dziejski będzie uciecha — radował się burmistrz Żołądkiewicz! To ci panie dziejski, będzie święto!

A obywatele przed afiszem uczyli się na pamięć cudacznych nazw zwierząt, o których mieli nierzadko tylko mgliste pojęcie.

— Ho, ho! — I panie dziejski, prawdziwy garbaty wielbłąd z Japonii — radował się pan Cyryl Żołądkiewicz. Ho, ho!

— I — i — panie burmistrzu, będzie także — podchwytywał sekretarz Kogutkiewicz — i będzie także zwierzojeż.

— Łżesz, panie Kogucik — odparł burmistrz.

— I — i — panie burmistrzu — będzie biała wrona.

— Bez ogona.

— I — i penelopa.

— Antylopa, panie Kogucik.

— I zebra...

— A niech cię febra! — zakończył rozmowę pan burmistrz, nie dlatego, aby się gniewał, lecz tak było do rymu. Bo jak z powyższej rozmowy wynika, burmistrz ze swym sekretarzem lubowali się w prowadzeniu wierszowych diologów. Zresztą pan Cyryl, urodzony poeta, na dzień przed przyjazdem ułożył „Balladę“ o arenie cyrkowej, którą zamierza wydrukować w miejscowej „Gazecie Kręciołowskiej“.

Ballada ta, zaczynała się, słowami:

„W starym cyrku
Na pagórku
Lew srogi
Liże swoje nogi.
Ale dość o burmistrzu.

W dzień cyrkowej premiery cała ludność wyległa na rynek, gdzie za instalowały się cyrkowe budy i namioty. Na wielkim szyldzie, malowanym czerwonymi sadzami na białym prześcieradle — widniał olbrzymich rozmiarów napis:

„Cyrk Bujdano“ Atrakcje: Dzikie bestie! Węże. Maleńka Kate i duża Kate!

Zanim opowiemy, co się stało podczas przedstawienia, musimy cofnąć się z opowieścią wtecz, o lat jakieś piętnaście.

W owym to czasie cyrk „Bujdano“ zatrzymał się pewnego dnia, w czasie podróży do jakiegoś miasta, w szczerym polu. A zatrzymał się dlatego, że za chwilę właśnie miała się urodzić „Maleńka Kate i duża Kate“, — Maleńka Kate była córeczką pogromcy lwów i tygrysów, a zarazem dyrektora cyrku — Carlosa Bujdano, a duża Kate była dzieckiem tygrysicy Diany.

Tak więc obie Katy urodziły się w jednym dniu. Chowały się też razem w cyrku. Razem rosły i dojrzewały. Tylko, że mała Kate po piętnastu latach, to jest w chwili gdy cyrk zjechał do Kręciołowa, była jeszcze młodem dziewczęciem, a duża Kate rosłą tygrysicą, o potężnych łapach, szczękach i pazurach.

Występy małej i dużej Kate stanowiły właśnie największą sensację przedstawień cyrkowych, gdyż żadna pogromczyni, a nawet pogromca nie umieli takich sztuk dokonać, jakie pokazywała mała Kate wraz ze swą dużą pupilką.

Ale tym razem przedstawienia nie zapowiadały się dobrze, bowiem w drodze do Kręciołowa wydarzyło się nieszczęście. Staruszek lew, na którego z takim zaciekawieniem oczekiwano w miasteczku—zdechł. To był poważny kłopot, bo jakże może nie być lwa, którego tak się reklamowało? Co powiedzą na to mieszkańcy Kręciołowa? Cały występ na nic! Gotowi jeszcze zażądać zwrotu pieniędzy za bilety.

Rada w radę — postanowił pan Bujdano ratować sytuację: ściągnął ze zdechłego lwa skórę i sam się w nią przebrał. A że głos miał silny, mógł więc liczyć, że mieszkańcy Kręciołowa nie zauważą tego „małego“ fałszerstwa. Ojca zaś przy sztukach w klatce na środku areny miała zastąpić mała Kate.

Zaczęło się przedstawienie. Najpierw klown „August“ podrzucał piłki, połykał noże i inne dziwy wyprawiał. Fontanna tryskała mu z

głowy, grał na starej miotle z jedną struną, fikał kozły i wykrzykiwał coś w „obcym“ języku, choć żadnego obcego języka nie znał.

— Siniares, dames — ergo — więc — zaczynam połykać ogień! — Maden, panowie — grand prix — żywy ogień, jak dames!

Tych obcych „słów“ nauczył się nieboraczek, czytając uważnie napisy na pudełkach od papierosów.

To jednak nie było wszystko.

Dwaj sztukmistrze popisywali się chodzeniem po naciągniętych drutach. Potem jakaś pani jeździła na koniu.

Publiczność była rozradowana.

Wreszcie poczęto ustawiać na arenie żelazne kraty. Miało rozpocząć się przedstawienie ze zwierzętami. Ale w ostatniej chwili pan Carlos Bujdano stchórzył. Wolał nie ryzykować ukazania się w lwiej skórze wśród prawdziwych zwierząt — wyszedł więc na arenę, skłonił się publiczności i rzekł:

— Panie i panowie. Wiem, chcecie lwa, ale nasz poczciwy Podro właśnie przed chwilą zaniemógł i dostał gorączki, tak że udziału w przedstawieniu brać nie może.

— Co? — ryknęła galeria. — Nieprawda! Dawać lwa, chory, czy nie chory!

Cóż było robić! Choć skóra cierpła ze strachu, trzeba się było przebrać w lwią powłokę i udawać srogiego drapieżnika. Carlos Bujdano przeżegnał się i wciągnął na siebie lwią skórę. Następnie na czworakach, naśladując lwa jak mógł najlepiej pokusztykał na arenę.

Mała Kate trzymała właśnie obręcz, przez którą skakała duża Kate, gdy wszedł ojciec na czworakach — lew prawdziwy.

Sala zamarła w oczekiwaniu.

Duża Kate, odegnana przez panią, przysiadła na boku, ale Venus, druga tygrysica, znacznie złośliwsza szybko zwąchała, że z tym lwem coś nie jest w porządku i nie namyślając się wiele, rzuciła się na niego, chwytając go za ogon.

Ogon w jednej chwili odleciał. Rozległ się krzyk trwogi. Na szczęście nikt nie zauważył kto woła pomocy. Kate wystrzeliła z bata i Venus odskoczyła od swej ofiary.

Ale tylko na chwilę, bo niemal natychmiast ponownie skoczyła do ataku i tym razem schwyciła rzekomego lwa za przednią „nogę“.

Ranny w rękę, śmiertelnie przerażony dyrektor cyrku napróżno usiłował wyrwać się z paszczy tygrysicy. I Bóg wie, czemby się to skończyło, gdyby nie Kate, która ani na chwilę nie straciła przytomności umysłu. Widząc, że sama nie zdoła odegnać rozwścieczonego zwierzęcia zwróciła się w stronę przypatrującej się walce dużej Kate.

— Kate — ratuj ojca!

A duża Kate zawsze wykonywała rozkazy swej pani, więc i teraz schwyciła znacznie słabszą Venus za kark i odwlokła od rannego „lwa“.

Przedstawienie było skończone. Rana dyrektora okazała się dość lekka, bo Venus schwyciła głównie za skórę lwa, była więc nadzieja, że prędko się zagoi. „Lew“, że to ranny przez tygrysa — nie potrzebował się więcej ukazywać na arenie, a maleńka Kate wraz z dużą Kate zdobyły sobie i tak dość braw i nawet zarzucono je cukierkami — „landrynkami“ od starego Szmajchlewicza, co było do wybaczenia przy takim święcie.

Uśmiechnij się

WINA.

Dwóch chłopców bije trzeciego aż kurz leci... Do bójki wtrąca się jakiś przechodzień, który rozdzielając chłopaków pyta:

— Czemu się tak znęcacie nad nim?

— A bo on źle zrobił zadanie w klasie...

— No to cóż to was obchodzi? Wartość jego wypracowania oceniać będzie nauczyciel.

— Tak, ale myśmy od niego ściągnęli i dostaniemy dwóję.

„entliczki-pętliczki“

Czy potrafisz odgadnąć?

Logogryf



Litery przeczytane od góry pionowo na dół w kolumnie wyodrębnionej grubymi liniami dadzą nazwę jednego ze zbiorowisk wody w Tatrach.

Znaczenie wyrazów: 1) Inaczej ściana z cegły, 2) Owad, 3) Inaczej kropelki wody na trawie, 4) Wynik dodawania, 5) Chrzestna matka, 6) Prosty przyrząd do szycia, 7) Imię żeńskie, 8) Narząd jednego ze zmysłów.

I. Łamigłówka

Ułożyć 12 wyrazów, z których pierwsze litery dadzą imię i nazwisko bohaterki powstania.

Znaczenie wyrazów: 1) imię żeńskie, 2) owoc, 3) bogini, 4) zabawka, 5) drapieżny ptak, 6) inaczej pamiętnik, 7) potrzebne na wycieczce, 8) dzikie zwierzę, 9) inaczej zapach, 10) instrument, 11) imię męskie zdrobniale, 12) drogi kamień.

Sylaby: Ka — a — mat — bu — lam — bin — ja — zy — no — a — al — ka — da — man — na — dzio — ri — e — lal — we — li — i — strząb — part — tam — bum — da — ple — ryn — cak — ro — ru

II. Łamigłówka

Ułożyć 14 wyrazów z których pierwsze litery czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie:

Znaczenie wyrazów: 1) część głowy, 2) inaczej śnieżyca, 3) prowincja francuska, 4) ryba, 5) zwierzę drapieżne, 6) miasto, 7) owoc, 8) imię męskie, 9) wulkan, 10) część kościoła 11) kwiat, 12) samogłoska, 13) góra w Grodźcu, 14) zjawisko.

Sylaby: Rys — czo — za — grys — ol — po — et — rot — do — dacz — ło — kusz — mieć — cja — wa — zo — — ka — al — ma — i — dor — ty — san — ą — cza — zy —na — rza — rań — f — za — as